

Ciszej tam, Cyprianie

Zygmunt najdelikatniej jak potrafił, starając się nie okazać zbytnej irytacji, odłożył oddaną właśnie przez jednego z uczniów książkę na półkę oznaczoną „fantastyka”. Westchnął boleśnie i wbił smętny wzrok w regał z od lat nie ruszaną poezją.

„Teraz młodzi już nie czytają wierszy. To zwyczajnie wyszło z mody” – pomyślał.

Zawsze tak sobie to tłumaczył, żeby nie czuć rozczarowania spowodowanego brakiem zainteresowania jego wypocinami. Wszyscy zawsze mówili, że to smętne, depresyjne, że ma obsesję na punkcie cierpienia, zagłady i śmierci. Nawet jego najlepszy przyjaciel Julek ciągle powtarzał „Uśmiechnij się, Irydionie!”. Irydion była to ksywka, którą Zygmunt dostał w liceum. Nikt oprócz niego i Julka nie wie, skąd się wzięła.

Drzwi szkolnej biblioteki otworzyły się z potężnym skrzypnięciem i, oglądając się za siebie, do środka wślizgnął się zdyszany ulubieniec wszystkich polonistów i Zygmunta, Cyprian Norwid.

– Dzień dobry, proszę pana – wysapał, zginając się wpół. – Czy mogę tu chwilę posiedzieć?

– Nie ma problemu – łagodnie odparł Zygmunt. Biblioteka często bywała miejscem spotkań i narad, więc obecność uczniów nie robiła mu szczególnej różnicy, dopóki byli stosunkowo cicho. – Co ty taki zziązany?

– Wie pan, bo miałem napisać wiersz na konkurs międzyszkolny i obaj, profesor Słowacki i profesor Mickiewicz, mówili mi jak powinienem to zrobić i...

– Niech zgadnę. Nie posłuchałeś żadnego i zrobiłeś po swojemu.

Chłopiec nerwowo pokiwał głową, wywołując nieznaczny uśmiech na twarzy Zygmunta.

– I prawidłowo. A dasz mi kiedyś przeczytać?

– Oczywiście – gorliwie zapewnił Cyprian.

Zygmunt na chwilę zniknął na tyłach biblioteki, by zaraz wrócić, niosąc w rękach pudło pełne książek.

– Wreszcie je pooznaczałem. – Wskazał na cienkie kawałki kolorowej taśmy, przyklejone na brzegach okładek. – Nowe. Właśnie przysłali. Nie ma ich zbyt wiele, bo w końcu to tylko biblioteka szkolna. Poza tym funduszy też nie ma. Chcesz mi pomóc je poukładać? – rzucił, oczekując odmowy, ale Cyprian z uśmiechem wyjął pierwszą książkę z pudła.

– Rozumiem, że niebieski to fantastyka, żółty powieści obyczajowe...

– Czerwony literatura faktu, a zielony poezja – dokończył za niego Zygmunt.

Nagle drzwi otworzyły się i do zakurzonej biblioteki wepchnął się średniego wzrostu, kaszlący mężczyzna w szarym płaszczu.

– Cześć Zyziu, słuchaj, nie wiesz, kiedy dokładnie ma być ta dyskoteka? Bo zacząłem przygotowywać takiego świetnego remixa „V symfonii”, ale nie wiem, czy się wyrobię, bo jak zawsze nie pamiętam, kiedy ma być impreza.

Zygmunt przetarł ze zmęczeniem oczy. Taka sytuacja nie była dla niego nowością, bowiem często różne osoby przychodziły do niego z pytaniami technicznymi lub innymi problemami. Chyba tylko on w tej szkole nie oszalał na punkcie wyrażania wszystkich swoich uczuć na prawo i lewo oraz mieszania legend z rzeczywistością. I cieszył się z tego, bo najwyraźniej wszyscy inni stracili głowę.

– Witaj, Fryderyku, chętnie bym ci pomógł, ale nie wiem jak. – Silił się na cierpliwość. – Nie zrozum mnie źle, ale to ty tu jesteś didżejem i to ty powinieneś znać daty dyskotek. A jeżeli nie pamiętasz, idź do Johanna, to on jest dyrektorem, powinien mieć papiery do wszystkiego.

– Racja – przyznał Fryderyk. Chciał dodać coś jeszcze, ale nie zdążył, bo wtem drzwi otworzyły się na oścież, robiąc strasznie dużo huk, gdy, ku rozpaczy Zygmunta, uderzyły w ścianę.

Oczom poirytowanego bibliotekarza, zdziwionego Fryderyka i cicho układającego książki Cypriana ukazał się wysoki mężczyzna w ciemnym palcie. Nikt nie miał wątpliwości, że był to Ferenc Liszt – młody nauczyciel muzyki, przyjęty tu dwa lata temu, w którym podkochiwała się połowa uczennic.

– Zyziu najdroższy, nie widziałeś może Fryderyka? – zapytał, a gdy po chwili dostrzegł opartego o ścianę Chopina, wydał z siebie niezadowolony jęk i z pretensją w głosie warknął:

– Szukam cię po całej szkole, wiesz?

– A cóż takiego się stało?

– Wiesz, co nam załatwiłem? – Ferenc wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć z radości. – Bilety na Koncert Paganiniego!

Fryderyk zamarł na chwilę, po czym z niedowierzaniem zapytał:

– Serio?

Kiedy Liszt potwierdził, obaj złapali się za ręce i zaczęli podskakiwać, piszcząc przy tym niemiłosiernie.

Cyprian zachichotał cicho, widząc szkolnego didżeja i nauczyciela muzyki w takiej sytuacji, a poirytowany Zygmunt wskazał głową na znak z napisem „Prosimy o ciszę”.

– Ach tak, oczywiście – wyszeptał Fryderyk, uspokajając siebie i Ferencę.

Jakby tego było mało, zza drzwi dało się słyszeć wiązaną przkleństw i wyzwisk, a już po chwili otworzyły się z hukiem i oczom wszystkich ukazało się dwóch kłócących się mężczyzn.

– Witaj, Zygmuncie – mruknął widocznie rozwścieczony nauczyciel o bokobrodach i niewielkim wzroście.

Przerażony Cyprian cofnął się, by ukryć się przed polonistami, którzy wkroczyli do biblioteki. Niestety, potknął się o leżące na podłodze pudło i wywrócił się, robiąc niemiłosiernie dużo huków.

– Co do...?! – Ferenc niemalże podskoczył z zaskoczenia, mężczyzna z bokobrodami, którym oczywiście był Adam Mickiewicz, złapał się za serce, a Fryderyk zaczął okropnie kasłać, przypominając o tym nowoprzybytemu Juliuszowi Słowackiemu, i już po chwili oboje strasznie charczeli, wywołując drgawki poirytowania u Zygmunta.

– Ciszej tam, Cyprianie – mruknął, obrzucając po kolei wszystkich karcącym spojrzeniem.

Usłyszawszy imię ucznia i upewniwszy się, że to on chowa się za regałami, Adam ze świstem wciągnął powietrze.

– Krasieński, ty przeklęty zdrajco. Mogłem się domyślić, że to ty się z nim zmasz i pobudzasz go do sprzeciwiania się mi! – wykrzykiwał rozzłoszczony, zamasyście wyciągając palec w stronę stoicko spokojnego Zygmunta.

– Daj spokój Adamie, wiesz, że to nie ma sensu. Ja to załatwię – Juliusz z lekkim wstrętem położył dłoń na ramieniu Mickiewicza i delikatnie go odsunął, robiąc sobie dostęp do przejścia między regałami. – Cześć, Cyprianie... – odezwał się jak do małego dziecka, na dodatek pochylając się, co nie było konieczne, gdyż niespecjalnie górował nad Norwidem.

Cyprian uniósł brwi.

– Cyprianie Kamilu – poprawił, a Juliusz cierpiętniczo westchnął, wywracając oczami.

No tak. Norwid miał niemalże stado imion (Zygmunt z plotek wiedział, że wszystkie nie mieszczą się w rubryczce w dzienniku), ale prawdopodobnie, by być bardziej denerwującym i rozpoznawalnym, dobrał sobie Kamil. Od tego czasu już nikt nie był pewien, jak się do niego zwracać. Pewnie dlatego wszyscy, zarówno nauczyciele jak i uczniowie, mówili o nim Norwid. Chociaż Zygmunt najczęściej używał po prostu Cyprian.

– To może my już pójdziemy – mruknął Fryderyk, wyczuwając napiętą atmosferę. Złapał Ferencę za rękę, przepchnął się między Juliuszem a Adamem i już ich nie było.

– A więc, *Cyprianie Kamilu* – zaakcentował Juliusz – to kolejny konkurs, w którym nie posłuchałeś żadnego z nas. Dlaczego?

– Już przeżyję wszystko, ale, na Boga, daj sobie spokój z tą rozstrzeloną czcionką. To nie wygląda estetycznie – syknął Adam, a zmęczony całą sytuacją Słowacki lekko pacnął go w ramię, jednocześnie dając mu do zrozumienia, że to jego robota.

Zanim zdążył się ponownie odezwać, Zygmunt powiedział swoim niezwykle monotonnym, niewyraźnym głosem:

– Dajcie mu spokój.

Obaj poloniści spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Niech dzieciak, robi, co chce – ciągnął Zygmunt. – W końcu to jego wiersze są wysyłane na te wszystkie konkursy, nie wasze.

– Ale jeżeli tak dalej pójdzie, nikt się nie pozna na jego talencie! – wykrzyknął zrozpaczony Juliusz.

– Skoro ma talent, to dajcie mu, na litość boską, pisać jak chce! – poirytowany Zygmunt rzucił się na krzesło za biurkiem zavalonym książkami.

– Oczywiście, on ma potencjał, ale trzeba go nakierować – westchnął już nieco uspokojony Adam.

– Przepraszam, ale muszę zapytać, kiedy mogę odpowiadać z WOS-u, bo potrzebuję sobie podnieść ocenę do końca roku. – Nikt nie zauważył, kiedy Cyprian znalazł się tuż przy drzwiach.

– Ale wydaje mi się, że profesora Łukasińskiego już nie ma... – powiedział Zygmunt, jednak Cyprian już zniknął.

Zmęczeni poloniści wymienili zdziwione spojrzenia. Następnie przerzucili je na niewzruszonego Zygmunta, który spokojnie wstał i z powrotem zabrał się do układania książek, dając im w typowy dla siebie sposób do zrozumienia, że nic tu po nich.